Raymond Z. Gallun

Gdy Ziemia stała się stara

(When Earth Is Old)

Super Science Stories, August 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I
W przyszłość

Arnie Nowicki był niewysokim, twardym, dwudziestodwuletnim gościem. Był sierotą. Rudolph Nowicki był jego wujem. Rudolph przyjeżdżał z miasta na czterdziestoakrową farmę Arniego na weekendy. Razem zaczęli budować schron, sto stóp pod ziemią, za rozwalającą się stodołą. Na jego konstrukcję poszło mnóstwo betonu, stali i aluminium. Rura prowadząca na powierzchnię, którą wydrążyli przy pomocy wypożyczonego świdra do wiercenia studni, była akurat na tyle szeroka, aby można było opuścić na dół długie, ołowiane skrzynie, końcem do dołu.

Czasami rzucali na chwilę pracę i szli na ryby. A pewnego dnia wzięli ze sobą Laurę Knox, jedyną dziewczynę, którą Arnie pokochał. Była nową pracownicą na leżącej w pobliżu farmie Nevvinsa. Słodka, mała brunetka, która w stosunku do wrogów potrafiła zachowywać się równie gwałtownie, jak Arnie, ale czasami była nawet bardziej łagodna niż on przy pracy nad uszkodzoną pompą. Mówiła o sobie, że przyjechała z St. Louis, ale równie dobrze można było powiedzieć, że przyjechała znikąd.

Kiedy siedzieli w łodzi, powiedziała:

— Wujku Rudy, wyglądasz jak jakiś muzyk, albo sławny naukowiec.

— Och, nie pozwól, żeby cię zmyliła moja broda Van Dyke'a — zachichotał Rudolph, wyciągając z jeziora sporego suma. — Jest przydatna podczas upałów. Pot spływa po prostu do jej koniuszka, a stamtąd już sobie skapuje nieszkodliwie.

Rudolph Nowicki był człowiekiem o łagodnym obejściu, niewysokim kawalerem o dużej dozie wyobraźni, różniącym się bardzo od innych członków swego dosyć topornego i czasami niezbyt zaradnego klanu. W młodości musiał opiekować się młodszymi braćmi i siostrami. Być może więc nawiedzało go poczucie niespełnionej realizacji szans życiowych. Mówiło się nawet, że kiedyś był zakochany.

Arni lubił swego wujka i tolerował jego niewielkie dziwactwa.

— Nie daj się nabrać, Laury – wujek Rudy nie jest prawdziwym naukowcem — powiedział. — W mieście jest wytwórcą napojów chłodzących.

Wszyscy się roześmiali.

Arnie był nieśmiały, zazwyczaj, gdyż wyśmiewanie się z niego, było równie niebezpieczne jak zabawa z zabłąkanym niedźwiedziem. Do spraw, którymi się interesował, oprócz swego wuja i obecnie Laury, należały książki naukowe, strzelby, samoloty, wędrówki po lesie, i majstrowanie przy starych samochodach. Współczesny świat i jego osoba, nie pasowały za bardzo do siebie. Ale w towarzystwie tej dwójki, czuł się jak w domu.

— Hmmm — skomentowała Laura. — Jeśli twój wujek Rudy nie jest jakimś naukowcem, to co z tym wszystkim co słyszałam o budowanym przez was schronie i z tym formaldehydem, alkoholem, solami, plastikami

i innymi środkami konserwującymi, które, jak również słyszałam, ciągle walają się po waszej kuchni?

Opalone policzki Arniego poczerwieniały ze wstydu. Kiedyś, w chwili słabości trochę wygadał się we wsi.

— To z pewnością jakieś nieprawdopodobne historie — wymamrotał.

Ale jego wujek tylko łagodnie się uśmiechnął:

— Nigdy nie mówiłem, że to co robimy, jest ogromną tajemnicą — zauważył. — Arnie, opowiedz Laurze.

— No dobrze — zachichotał z ulgą chłopak. — Wujek Rudy, kiedy chce trochę odetchnąć od biznesu z napojami chłodzącymi, lubi rozmyślać o przeszłości. Jaskiniowcy. A nawet dinozaury sprzed sześćdziesięciu milionów lat. Skamieniałości. Mumie. Historia naturalna. Oraz o odległej przyszłości. Uważa, że byłoby interesujące, gdyby jego ciało po śmierci, doskonale zachowane, zostało zakopane na kolejne tysiąc lat, a następnie umieszczone w muzeum, aby mogli je badać archeolodzy z tamtych czasów, a ludzie oglądać na wystawie.

Arnie przerwał, by tolerancyjnie prychnąć.

— Czy wyobrażasz sobie tę tabliczkę z informacją „Sławne ciało nieznanego dwudziestowiecznego biznesmena, w stroju z tego okresu.” To jego sposób na podróż w przyszłość, ponieważ nie potrafi zbudować wehikułu czasu…

Na ładnej twarzy Laury Knox pojawił się lekki i wyrozumiały niesmak.

— O jejku! — stwierdziła. — Straszna z was para dziwaków, nieprawdaż?

Ale uprzejma twarz Rudolpha Nowickiego pozostała spokojna jak pogodne niebo. Jego porcelanowo-niebieskie oczy zamigotały, jakby usłyszał dobry żart. Poza sprawami swego biznesu, był ucieleśnieniem fantazji. Trudno było o nim powiedzieć, że jest straszny, pod jakimkolwiek względem, chociaż jego hobby było rzeczywiście dziwne. Było to jednak coś, co mógł zrobić i o czym mógł rozmyślać. Można było powiedzieć, że całą swą osobą związał się z możliwością zmiany Ziemi, czyniąc obecną codzienność bardziej znośną. To było warte wydania paru tysięcy dolarów. Co się stanie, jeśli w ogóle cokolwiek miało się stać, w odległej przyszłości, nie było już takie ważne.

Laura Knox, która w sercu była po części poganką i czcicielką natury, do pewnego stopnia wyczuwała te emocje. Być może także stanęły jej przed oczyma sztampowe wizje lśniących wież przyszłości.

— Bardzo cię przepraszam, za ten ostatni przytyk, wujku Rudy — powiedziała.

Rozłożył ręce i puścił do niej oko.

Potem Laura wygłosiła kilka bardzo nieostrożnych zdań.

— Ten brzydal, który rozpuszcza te historie po okolicy, robi to tak, że brzmią one bardzo sensownie — powiedziała. — Opowiada o „zwariowanym Nowickim i jego szalonym wuju” i twierdzi, że obaj jesteście „na tyle pomyleni, że powinniście siedzieć w miejscowym domu wariatów”.

Opalone pięści Arniego zacisnęły się. Jego ciemna twarz przybrała wyraz jakby przykryła ją chmura gradowa. Dobroduszne wrażenie zniknęło.

— Kurczę, Laury – nie obrażaj brzydali — cicho warknął. — Pewnego pięknego dnia naprawię odpowiednio wóz Roba Corsona. Jego, i wszystkich jego braci!

Corsonowie mieli dobrze prosperującą farmę mleczną, w odróżnieniu od niewielkiej, biednej nieruchomości Arniego. Inaczej niż większość potężnych mężczyzn, Rob Corson był dziecinnym brutalem i sadystą. Miał też dobre poczucie humoru – co oznaczało bardzo specyficzne żarty. Jego kompani byli absolutnymi marionetkami. Trzymał się z daleka od ludzi, którzy byli na tyle twardzi, by dać sobie z nim radę. Arnie, chociaż niewysoki, był pod tym względem dokładnie w tej grupie. Poza tym, nie pasował do bandy Roba. A Corson był typem człowieka nienawidzącym i czującym strach przed wszystkimi ludźmi i rzeczami odmiennymi od niego.

Arnie ciągle nosił blizny po pewnych wydarzeniach, mających miejsce w czasie jego samotnego i dzikiego dzieciństwa, kiedy dwa lata starszy od niego Rob bił go dla zabawy. Od tego czasu panował między nimi niełatwy okres pokoju. Ostatnio jednak, Rob zaczął robić podchody do Laury. To, że dziewczyna otwarcie mu powiedziała, gdzie ma się wynieść, nie powstrzymało go. Dla Arniego było to jak benzyna wylana na dogasające węgle. A ostatnie informacje od Laury, stały się kroplą przepełniającą czarę.

Przez pozostałą część ich wycieczki na ryby Arnie był ponury i zamyślony. Tej nocy poszedł do wioskowej tawerny. Wrócił z poobijaną twarzą i kostkami rąk. Można powiedzieć, że ta runda zakończyła się remisem.

W ciągu kilku kolejnych tygodni, odbyło się jeszcze kilka rund bokserskich.

Potem Rob zastrzelił psa Arniego i podrzucił jego zwłoki na jego podjazd. Tym razem Laura musiała włożyć sporo wysiłku w przekonywanie Arniego, aby powstrzymać go przed pójściem po swoją dobrze naoliwioną strzelbę myśliwską. Ale oznaki zbliżającej się nieuniknionej katastrofy, były już wyraźnie widoczne.

Do rozprawy doszło pięć dni później, pewnej upalnej środy, we wczesnych dniach września. Walka rozpoczęła się na parkingu Silver Basket Roadhouse, kiedy w środku orkiestra grała gorącą muzykę taneczną. Laura nie mogła zapobiec starciu.

— Żaden pies nie będzie gonił moich krów — warknął Rob Corson, z pewnością siebie, która w widoczny sposób była fałszywa. — A już szczególnie nie kundel jakieś kieszonkowego przygłupa, który nazywa się Świrnięty Nowicki!

Tam, pod odwiecznymi gwiazdami, gdzie wiatr mieszał prymitywne odgłosy starej jak świat przyrody z równie prymitywnymi dźwiękami nowoczesnej muzyki, Arnie zmienił się w maszynę, nakierowaną na jeden

barbarzyński cel. Ból otrzymywanych ciosów stał się dla niego czymś, co można było pominąć i zapomnieć. I tym razem wygrał zdecydowanie.

Rob Corson padł na ziemię, wielkie półprzytomne cielsko, z mózgiem wypełnionym żądzą mordu.

Laura odciągnęła Arniego, wrzeszcząc na niego:

— Arnie! Ty cholerny głupcze! Chcesz wylądować we więzieniu? Jazda… pakuj się do swojego gruchota… Ja poprowadzę…

Stary wóz odjechał z dosyć znaczną szybkością, jego reflektory rozcinały ciemność okrywającą całunem krętą, leśną drogę. Ale po kilku minutach z tyłu rozbłysły inne, jaśniejsze światła, szybko zbliżające się do niego. Wielki samochód wkrótce dogonił gruchota Arniego i zaczął spychać go z drogi. Laura Knox straciła trochę zimną krew. Kierownica szarpnęła jej się w dłoniach.

Po tym, dla Arniego Nowickiego pojawiły się wrażenia, które wielu ludzi odczuwa w ostatnich sekundach swego życia… Wirujący, roztrzęsiony, nierealny ruch – i coś w rodzaju otępiałego zaskoczenia. Ból, który spowodował jego krzyk – połączony z dziwnym wrażeniem, że to nie on krzyczy, tylko ktoś inny. Do końca zachował świadomość, uwięziony pod samochodem, świadom, że jego ciało nie jest już zdolne do życia, widząc koło siebie głowę i ramiona Laury w świetle latarki Roba Corsona. Miała rozbitą czaszkę, ale jej ciemne włosy delikatnie owijały się lokami wokół policzka, tak że wyglądała szczerze i niewinnie, jak dziecko.

Arnie Nowicki być może zrodził się do przemocy. I jego ostatnie myśli przepełnione były mroczną nienawiścią. Jej cień zamarzł, na całą wieczność, na jego martwej twarzy.

Rob Corson był jedynym świadkiem tego, co się wydarzyło. Rano, kiedy rozmawiał z szeryfem, głupi strach przed śmiercią, którą spowodował, ciągle pokrywał bladością jego policzki i powodował suchość w ustach.

— Zgadza się, Nowicki i ja pobiliśmy się — przyznał. — Wiadomo, że trochę mu odbijało. Po bójce, ta Knox odjechała z nim jak szalona. Kiedy ktoś prowadzi cały w nerwach, podejmuje duże ryzyko. Ja też byłem trochę rozdrażniony. Pojechałem za nimi swoim wozem. Ale kiedy ich dogoniłem, już rozbili się o te drzewa. Byli martwi. Co miałem zrobić…?

Godzinę później, Rob Corson przechwalał się, czując się sprytny.

Czy trzeba wspominać o smutku Rudolpha Nowickiego? Ale mieszał się on z pewną fantastyczną ideą. Mógł to zrobić nie tylko dla Arniego, ale również dla Laury Knox, ponieważ nie miała żadnych znanych krewnych.

Minęło kilka lat i Rudolph Nowicki także został złożony w schronie, zgodnie z pozostawionymi przez siebie instrukcjami.

Czas upływał, dekady zmieniały się w wieki. Człowiek wymazał z powierzchni Ziemi farmy oraz lasy, i zbudował swoje nietrwałe wieże, wznoszące się dumnie przez tysiąc lat. Wiedza biologiczna ich budowniczych była już dostatecznie duża, aby zastąpić martwe komórki żyjącymi. Ale kto spośród nich przejmował się nic nie znaczącą masą

betonu, aluminium, stali i ołowiu, zagrzebaną w ziemi, nawet jeśli ich przyrządy bez trudu mogły ją zlokalizować?

Przez pewien czas cywilizacja tych budowniczych wież rozkwitała. Przez chwilę, byli oni silni i łagodni. Dopóki nie pochwyciła ich ponownie dekadencja i brak rozsądku. Ich wieże upadły, albo zostały powalone. Kolonie międzyplanetarne uległy zniszczeniu i tych parę tysięcy osobników, którzy przetrwali holokaust na ojczystej planecie, popadło w retrogresję.

Przez wieki, na Ziemi ponownie żyli jaskiniowcy. Dzikie zwierzęta polowały na nich i oni polowali na dzikie zwierzęta. Nadeszły i cofnęły się lodowce. Jak często powtarzał się ten cykl wzlotu i upadku? Natura beztrosko odliczała kolejne swe ery. Erozja starła góry; siły wulkaniczne wypiętrzyły je z powrotem, po to tylko, by ponownie zostały zniszczone.

Chociaż pomniejsze odgałęzienia rasy ciągle istniały, powoli rozwijali się ludzie o wielkiej głowie i potężnym intelekcie. Zduplikowali oni umysł i świadomość człowieka w maszynie, najpierw jako skomplikowany i nieporęczny mechanizm z metali i kryształów, a potem po nieuniknionych ulepszeniach i uproszczeniach, zaczęli zmierzać w kierunku superumysłu, którego fizyczną postacią był kłębek czystej energii, mogącej wędrować we wszechświecie gdziekolwiek chciała i oddziaływać na naturę jak pomniejsza istota boiska.

Potrafili oni tworzyć żywe stworzenia z dowolnego materiału, od materii nieożywionej, do takiej postaci i jakości umysłowej, która mogła odpowiadać im samym. Ale, w swej formie energetycznej, opuścili oni Ziemię. A pod jej powierzchnią, resztki schronu korodowały i niszczone były przez działanie sił geologicznych, zaś trzy ciała spoczywały zapomniane, ciągle czekając.

W międzyczasie odwieczne konstelacje, dzięki stopniowym ruchom gwiazd, dawno już zmieniły swe kształty. Była to jednak sprawa drugorzędna. W całym wszechświecie natura kontynuowała kolejne eksperymenty, rozwijając to co było stare i tworząc rzeczy zupełnie nowe, tak samo jak na Ziemi, gdzie po rybach stworzyła ona gady, zaś po gadach ssaki.

Mniej więcej miliard lat po pogrzebaniu Rudolpha Nowickiego, na Ziemię przybył mikroskopijny zarodnik. Przyleciał on, dzięki ciśnieniu światła oraz przyciąganiu grawitacyjnemu Słońca i Ziemi. Przyleciał on również dzięki całemu projektowi podnoszącemu szanse jego dotarcia, do pewności. Wybuchowe roślinne wyrzutnie wystrzeliwały niezliczone tryliony zarodników do górnych warstw atmosfery pewnej innej planety. Miliardy z nich zostało wypchniętych w kosmos przez wspomniane ciśnienie światła słonecznego. Reszta była już tylko kwestią czasu – ile go było potrzeba, to nieważne. Musiało się to stać, wcześniej czy później.

Był to exodus, mający na celu przetrwanie, z planety która zbliżała się wtedy do swej śmierci. Z Marsa. Ale podobny exodus miał już miejsce wcześniej, co najmniej dwa razy. Z księżyców Saturna, a potem z satelitów Jowisza. Mogło tak być, że ta forma życia narodziła się właśnie na księżycach Saturna. Jeśli nie pochodziła ona, z jakiejś planety którejś z najbliższych gwiazd.

Dotarcie jednego zarodnika do Ziemi całkowicie wystarczało. Zawierał on w swym niewielkim wnętrzu, wszystko co było potrzebne do odbudowania cywilizacji daleko starszej niż ludzka. Istotne było, być może, że skorupa zarodnika zawierała sole ołowiu, które chroniły znajdujące się pod nią istotne dla życia organy przed promieniowaniem kosmicznym przestrzeni i zabójczym efektem twardego światła ultrafioletowego Słońca, niefiltrowanego przez atmosferę. Ale sole te nie były naniesione pędzlem, ani wprasowane w skorupę przez maszynę. Dziwne…

Zarodnik zakorzenił się na pustyni, chłodnącej już i starzejącej się Ziemi, podczas panowania ostatniej, okrutnej rasy ludzkiej, która wybiła wszystkich swych zbyt-łagodnych współczesnych, po tym jak super-istoty opuściły ojczysty świat, aby wędrować po wszechświecie.

Z zarodnika wyrosła bulwiasta, kaktusowata roślina. Zwykłe organizmy roślinne mają w swych liściach światłoczułe komórki. Czyż tak trudno więc uwierzyć, że w przypadku tego osobliwego przybysza, rozwinęły się one w oczy, potrafiące widzieć? Lub czy takie dziwne było, że niewielkie elementy kręgosłupa stworzenia mogły wykrywać dźwięki? Czy niemożliwe było również, by drobne włókienka, działające w innych roślinach jak układ nerwowy, nie mogły zmienić się w tym obcym przybyszu w oleiste kłębuszki, które działając razem służyły mu jako mózg?

Nikt nigdy w rozstrzygający sposób nie dowiódł, że wysoka inteligencja może być tylko cechą świata zwierzęcego. I, prawdę mówiąc, bez inteligencji pewnym jest, że linia do której należało to zarodnikowe stworzenie, musiałaby już dawno temu wymrzeć.

Przybysz dojrzał i wypuścił na wszystkie strony świata kolejne niezliczone nowe zarodniki. Liczba roślin szybko wzrastała. Na razie ich przyczółek na Ziemi był niepewny, ponieważ niosły one ze sobą zagrożenie, a więc sama ich obecność prowokowała atak przy pomocy całej tej paskudnej broni, jaką dzięki nauce mogła skierować przeciw nim ostatnia, okrutna rasa ludzka.

Początkowo jedyną obroną roślin zarodnikowych była ich liczba, szerokie rozproszenie w bardzo odludnych regionach, oraz zdolności do szybkiej reprodukcji. Ale przez cały czas z wolna rozwijała się ich własna potęga, aż w końcu były one w stanie zwyciężyć.

Bowiem one również posiadały osobliwą wiedzę naukową. W swoich głównych aspektach zupełnie odmienną od ludzkiej, a jednak, oczywiście, związaną z tą samą rzeczywistością, poprzez uniwersalne prawa natury. Na przykład coś co było cząsteczką wody dla ludzi, dla nich również było tą samą cząsteczką. Ale ich podejście, techniki, musiały być odmienne. Przecież ani ich zdolności, ani słabe strony, nie były takie jak u ludzi.

Punktem wyjściowym niemal całej nauki ludzkiej jest ogień. One go znały, ale nie mogły używać. Nie miały rąk do budowy pieców, do przygotowania naczyń laboratoryjnych, czy też do konstruowania

metalowych maszyn. Nie potrafiły wykonywać szybkach ruchów, i były zakotwiczone w ziemi poprzez korzenie.

Nie były jednak bezradne. Rozwinęły zmysły nieznane ludziom. Najważniejszy z nich był chyba troszeczkę podobny do zmysłu dotyku. Mogły „czuć” płyny poruszające się z wolna przez ich tkanki. Potrafiły jednak „czuć” znacznie więcej. Ten zmysł działał tak dokładnie, jak najbardziej precyzyjne przyrządy. Nie mogły im umknąć najdrobniejsze nawet zmiany chemiczne lub fizyczne, zachodzące w ich komórkach. Pozwalało im to na kompletne zrozumienie działania swoich procesów życiowych, a przy tak pełnym zrozumieniu, jaka zasada funkcjonowania biologicznego mogłaby im umknąć? Nie pisały książek, ale „czucie” tych spraw, działało jak przeczytanie wielu opasłych tomów, pełnych najbardziej zaawansowanych rzeczy, napisanych z barwnością przekraczającą możliwości słów. Nawet bez dziedzicznej pamięci rasowej, którą posiadały, ich wiedza naukowa nie byłaby zagrożona utratą, pod warunkiem, że przetrwają.

Ich zdolności dedukcyjne, były absolutnie porównywalne z ludzkimi. Potrafiły tworzyć teorie, prowadzić obliczenia, dowodzić i odrzucać hipotezy. Wzorzec umysłowy innowacyjnej koncepcji pojawiał się tak samo, jak to się dzieje w mózgu człowieka. Ale sam sposób opracowywania tej innowacji, był zupełnie obcy.

Nauczyły się kierować i kontrolować rozwojem swoich tkanek. Przedmioty, które wytwarzały były więc częściami ich własnego ciała. Arteria wodna, był to dla nich wielki, pusty w środku korzeń, pracujący dzięki powolnej pulsacji ścianek. Mógł on ciągnąć się przez tysiące mil pustyni i być złożony z połączonych fragmentów milionów poszczególnych roślin.

Cieniutki włóknisty przewód z roślinnej tkanki nerwowej, w ścianie takiego korzenia, służył do podobnych celów co telefon czy telegraf, ale działał znacznie lepiej; ponieważ ich komunikaty nie były złożone z topornych słów, lecz z myśli oraz rzeczywistych wrażeń zmysłowych.

Bateria elektryczna nie różniła się bardzo od wyspecjalizowanych tkanek węgorzy elektrycznych, wytworzonych przez nie już eony temu. A jej podstawowa użyteczność dla roślin, była również podobna – obrona.

Skoro posiadały elektryczność, możliwe również było wykorzystanie radia. Iskry elektryczne mogą wytwarzać fale elektromagnetyczne, które ich długie kręgosłupy mogły wykrywać na duże odległości.

Najeźdźcy pokonali ostatnich okrutnych ludzi przy pomocy bezwzględnego sprytu, hamowanego przez logikę, a nawet przez sprawiedliwość. Zwyciężyły przy pomocy swojej potęgi – dogłębnego zrozumienia biologii i chorób. I przez kilka stuleci zażywały pokoju, spokojnie ciesząc się życiem, rozumiejąc to w sposób najbardziej dla nich istotny. Z ludzkiego punktu widzenia, było to dosyć tajemnicze. Ale rozmyślanie i społeczna wymiana idei z pewnością musiały stanowić część ich życia. Plus, być może, łagodne roślinne zadowolenie.

Potem, również z kosmosu, nadciągnął najeźdźca innego rodzaju. Był to też rodzaj żywego stworzenia. Być może narodziło się ono późno w historii kosmosu, ponieważ było bardzo proste, niemal prymitywne.

Bardzo powoli, a jednak niepowstrzymanie, zaczęło się ono rozprzestrzeniać. Było radioaktywne – i śmiertelnie niebezpieczne.

Zadowolenie roślin skończyło się.

Mniej więcej w tym samym czasie, jeden z korzeni przebiwszy się na ślepo kilka stóp w dół przez ziemię, znalazł poskręcane resztki schronu Rudolpha Nowickiego, który po wiekach działania erozji i geologicznych przesunięć skorupy ziemskiej, pokonał znaczną drogę do góry, niemal na powierzchnię.

W ciągu kilku miesięcy wzrostu, drobne włókienka korzeni obmacywały z leniwą ciekawością trzy ołowiane skrzynie. Pokruszone ściany schronu nie stanowiły już przeszkody. Stal i aluminium weszły w reakcję z ziemią, tak że nie pozostało już nawet śladu tych metali w wolnej postaci. Beton zmienił się w pokruszone kawałki. Ołów był bardziej odporny na korozję; ale po upływie tak ogromnego okresu czasu, żadna ze skrzyń nie była już w najlepszym stanie.

Korzenie wcisnęły się do środka, dotknęły ubrań, przebiły się przez nie – docierając do ciał ciągle przepełnionych środkami konserwującymi. Jako pierwsze zostało przez nie dotknięte ciało Arniego Nowickiego.

Do pracy przystąpiły ponadludzkie zmysły. Zaczęło wzbierać podniecenie. To kiedyś była żywa istota. Teraz była ona martwa – *ale doskonale zachowana, co do ostatniej komórki mózgu, które nota bene wskazywały na znaczne możliwości intelektualne!* To była ważna sprawa. Stworzenie miało postać wroga sprzed paru stuleci – wroga, który teraz już wyginął, nie pozostawiając, w większości przypadków, nic ze swej fizycznej powłoki, poza szkieletami. Zdarzały się, ekstremalnie rzadkie, wypadki, przypadkowego lub zamierzonego zachowania ciał – poprzez wysuszenie, zamrożenie, albo przy pomocy innych środków. Nie tylko osobników tej ostatniej, okrutnej rasy, ale także innych ras, które ją poprzedzały. W każdym jednak przypadku, mieli do czynienia z pewną degradacją struktury mózgu – zawsze – aż do tej pory. Szkoda, że ta ostatnia rasa nie została przestudiowana bardziej uważnie. Zostało to zaniedbane – przeoczenie. Ale czyż było to istotne, teraz, wobec tego uśmiechu fortuny?

Przez włókniste kanały nerwowe o długości tysięcy mil, zaczęły mknąć wiadomości i rozgorzały dyskusje. Zaczęła narastać nadzieja. Były trzy ciała, nie tylko jedno. I były one trochę odmienne od tych, pochodzących od wroga, należąc w oczywisty sposób do znacznie wcześniejszej rasy. Być może mieli tu do czynienia z rozsądkiem, a nie tylko bezmyślnym kretynizmem. A jednak, czy mądrym było prosić o pomoc istoty o tak podobnych kształtach? Albo może lepiej było zmusić ich do niej, a nie prosić. Głupie pytania! W rozpaczliwej sytuacji, problemy muszą być rozwiązywane wszystkimi dostępnymi środkami.

Pomiędzy roślinami z kosmosu, ciała z dawno zapomnianego dwudziestego wieku, stały się ośrodkiem wspólnych wysiłków i zainteresowania, było to jak wojna, a prawdę mówiąc była to wojna.

Pierwsze włókienka korzeni, które spenetrowały te pradawne ciała, zostały zabite przez środki konserwujące. Ale w ołowiane skrzynie i przez zerodowany plastik, wrosły kolejne włókienka. Owinęły się one gęsto

wokół ciał, tworząc dla każdego z nich coś w rodzaju ogromnego kokonu. Mila za milą docierały do nich kolejne włókienka, stopniowo łącząc się ze sobą, aż w końcu została uformowana twarda, nie przepuszczająca płynów skorupa, od zewnątrz zdrewniała, ale na wewnętrznej powierzchni pokryta miękką, śluzowatą membraną.

Do kokonów została wprowadzona lekko zakwaszona woda, żeby rozpuścić i wypłukać środki konserwujące, która potem wyleciała w ziemię przez niewielki zawór klapkowy, otwierający się w zdrewniałej skorupie. Owe procesy wypłukujące i oczyszczające powtarzały się wielokrotnie, zanim mogła zacząć się prawdziwa praca.

I tutaj właśnie umiejętności i specjalne uzdolnienia tych dziwacznych istot, grały naprawdę istotną rolę. Z pewnością nie było inteligentnych stworzeń w kosmosie, które lepiej by się nadawały do wykonania tego zadania, niż one. Przez cały czas budowały coś z żywych komórek. Życie było podstawową zasadą, stojącą za ich wszystkimi dokonaniami naukowymi. Przez niezliczone wieki, zdążyły dobrze się zaznajomić ze wszystkimi jego tajnikami.

Każde z trzech ludzkich ciał stało się dla nich czymś w rodzaju wzorca. Ich zadaniem było zastąpienie starych tkanek, nowymi, komórka po komórce, w drobiazgowo dokładnym odtworzeniu, tak aby uruchomić ich siły życiowe. Wszystko to próbowały już robić wcześniej, z innymi, nie tak doskonale zachowanymi ciałami ludzkimi z wielu epok. Razem licząc, było to może około trzydziestu ciał. Jednak bez takich nadziei, jak obecnie.

Obrażenia, które spowodowały śmierć dwu ciał, nie były trudne do naprawienia, ponieważ łatwo było się zorientować, jak poszczególne części pasowały do siebie. Starości, która spowodowała śmierć trzeciego ciała, można było przeciwdziałać, po prostu przez zmianę chemiczną jego komórek, tak by stały się takie same jak w młodszych ciałach.

Zastosowano energię cieplną pochodzącą z fermentacji. W ciepłych płynach, otaczających ludzkie ciała rozpuszczone zostały znaczne ilości tlenu. A więc, w pewnym sensie, kokony stały się wielkimi jajami, inkubatorami. Wszystko to działało jak dziwna, niesamowita ciąża, prowadząca do powtórnych narodzin. Czy miało to znaczenie, że rośliny były roślinami, a stworzenia które próbowały odtworzyć należały do świata zwierzęcego? Nie, ponieważ te same zasady, na których funkcjonuje życie, stosowały się do obu przypadków. Białka, tłuszcze, i tak dalej.

Jak długo to trwało? Może ze trzy lata.

Wydarzyło się dużo więcej, niż tylko ożywienie Rudolpha Nowickiego i jego dwójki towarzyszy. Plan nie mógł kończyć się w tym miejscu.

Były również i inne problemy. Być może jaźń osobnika jest tylko strukturą odwzorowaną w komórkach jego mózgu. Powtórne przywrócenie ich do życia, wystarczałoby więc do odtworzenia osobowości. Albo może jaźń musi być przywołana z jakiejś centralnej matrycy uniwersalnej inteligencji. Takie sprawy, ciągle jednak należą do dziedziny teorii.

II
Przebudzenie

Arnie Nowicki nie pamiętał jasno jakiejś ściśle określonej chwili przebudzenia. Proces ten miał raczej charakter powolnego wynurzania z mglistego koszmaru. Już kilka godzin wcześniej, zanim tak naprawdę zaczął zdawać sobie sprawę z tego co się dzieje, musiał być mgliście świadomy i od czasu do czasu wykonywać gwałtowne ruchy.

Jego pierwszymi emocjami były gniew i nienawiść – przeniesione z ostatnich sekund życia, miliard lat temu. Dziwne to było – ostatnie uczucia, zostały przechowane przez tak niesamowicie długi czas, skrystalizowane w śmierci, tylko po to by wybuchnąć ponownie, tak jakby nie minęła nawet chwila.

Nawet w stanie tej rozmytej pół-świadomości, ciągle pamiętał imię i nazwisko Roba Corsona. Ta wściekłość musiała dodać siły jego mięśniom w realizacji pierwszego niezbędnego do wykonania zadania. Ledwie sobie uświadamiał, że czuje się na wpół utopiony. Walczył z więżącą go ze wszystkich stron skorupą, która już zaczęła się rozdzielać, jak dojrzały strąk. Rozerwał ją i ciepłe płyny wypłynęły z niej na ziemię.

Przez parę minut leżał w skorupie, z twarzą zwróconą ku małemu, białemu słońcu, dysząc i sapiąc. Potem, automatycznie jak zaniepokojona gąsienica, wypełznął z niej, napędzany mglistym pragnieniem ucieczki. Był za słaby i za bardzo wyczerpany, żeby próbować wstać. Czołgał się tylko po suchej, pełnej kamieni ziemi, zostawiając za sobą wilgotny ślad, płynów wypływających w mokrych skrawków odzieży, które ciągle owijały się wokół jego ciała.

Mógłby w ten sposób odpełznąć daleko, gubiąc się w niesamowitym otoczeniu; ale rzuciło się na niego coś ogromnego, quasi-ludzkiego i topornego, próbując go przytrzymać. Twarz tego stworzenia, z opadającą wargą, kogoś mu przypominała; i walczył z nim z całych sił. Ale jego energia uległa wyczerpaniu i na chwilę świadomość uległa kolejnemu zaćmieniu. Potwór, ewidentnie usatysfakcjonowany tym że przestał się ruszać, odsunął się nieco i przykucnął między wielkimi kaktusowatymi stworzeniami bacznie mu się przyglądając.

Umysł Arniego wypełniała plątanina wrażeń.

Ktoś leżał koło niego. Jakieś znajome ciało – równie oszołomione jak on. Zaczęli niezdarnie rozmawiać, jak dwu pijanych.

— To ty, Arnie?

— Taaa… Cześć, wujku Rudy… Wyglądasz jakoś inaczej…

— Czy to ważne? Arnie, czy wiesz jak daleko jesteśmy od naszych czasów? Nie ma już nawet żadnych zrodzonych w naturalny sposób ludzi! Arnie, czy wiesz, jak zostaliśmy ponownie przywróceni do życia i dlaczego? Wiesz, Arnie? Przepraszam cię… to moja wina… wsadziłem cię w ten…

— Bzdury, wujku Rudy… to nie twoja wina. Taaa – może nie powinienem znać odpowiedzi na twoje pytania. Ale znam. Musiałem o tym wszystkim śnić. Może to one zesłały mi ten sen? Zdawało mi się, że przez chwilę byłem ich częścią, czy coś takiego… Wygląda, że ciągle jestem ich częścią, a one chcą, żebyśmy coś dla nich zrobili. Niech mnie diabli, jeśli się zgodzę! Do diabła z nimi…

Arnie ciągle mocno dyszał. Jego głos brzmiał jak ochrypłe powarkiwanie. Ale w głowie mu się już trochę rozjaśniło. Wypowiedziane słowa stanowiły próbę wyrażenia, w tak prosty sposób, jak tylko potrafił, pewnych nieludzkich wspomnień, które zostały umieszczone w jego mózgu w czasie ostatnich godzin bliskiego kontaktu z tymi dziwacznymi kaktusami, być może przy pomocy bezpośredniego połączenia zmysłowego.

Przez pewien czas ani Rudolph, ani Arnie nie odzywali się. Arnie do tej chwili zrozumiał już większość tego co się wydarzyło. Jego irytacja rosła. Trudno było nawet pojąć tę całą niewiarygodną prawdę, a co dopiero się z nią pogodzić. Leżał, teraz, rozglądając się wokoło, chłonąc nastrój tego niesamowitego miejsca i czasu. Zewsząd dokoła dochodziło przyciszone brzęczenie, jakby milionów cykad.

Arnie popatrzył na kokony z włóknistych korzeni. Było ich w sumie pięć, ale tylko trzy z nich pękły. Wszystkie leżały na wpół otwarte na suchej ziemi. Dookoła trzech z nich – dwu otwartych i jednego ciągle zamkniętego – widać było resztki ołowianych skrzyń, zmieszane z kawałkami betonu. A więc to tutaj był schron – na pastwisku za jego stodołą.

Popatrzył na wschód, na skurczone, ale ciągle świecące oślepiającym światłem słońce. Tam powinna być droga, po bokach której rosły rosochate klony, stały znaki drogowe i słupy telefoniczne. Wzdłuż drogi, dalej, powinna leżeć kolejna farma.

— Nevvinsowie musieli się wyprowadzić — warknął Arnie z kwaśnym humorem.

Na wschód i na zachód, jak okiem sięgnąć, nieprzerwanym pasmem rosły kaktusy.

Kiedyś na południu była wioska, z wieżą wodociągową i strzelistym kościołem, wyrastającymi ponad drzewa. Dalej w tę stronę, przez całe mile nie było zbiornika wody większego niż kałuża, i to po deszczu. Teraz jednak znajdowało się tam łyse skaliste zbocze, opadające w otchłań ciemnoniebieskiego oceanu. Widać było, że biały pas na plaży, nie były to fale przyboju, ale minerały. Bez wątpienia soda i sól. Dowód zaawansowanego wieku Ziemi, na której rozpuszczalne minerały spłukiwane były do przesuwających się, a obecnie mocno pomniejszonych, mórz, odkąd tylko rozpoczęła się jej historia.

Arnie zwrócił wzrok na północ. Tam kiedyś były gęste lasy, opadające do nadrzecznych równin. Ciągle widać tam było las, odpowiadający w pewnym stopniu znajomym standardom, przynajmniej w kilkumilowym zasięgu widoczności. Obecnie jednak drzewa rosły znacznie rzadziej. A zamiast opadać, teren wznosił się, tworząc łańcuch poszarpanych wzgórz, na których widoczne były duże białe wapienne skały.

Jedna z nich była dziwnie poznaczona, czarnymi jak sadza plamami. To sugerowało chorobę… I, być może dlatego, że informacja ta została umieszczona w jego mózgu, Arnie odebrał ten widok jako złowieszczy.

Potem jego uwagę przyciągnęła rosnąca nieopodal kępa pomarańczowych dzikich kwiatów, oraz zniszczona wieża, położona za nią w większej odległości. Była żółta i błyszczała w świetle słonecznym jak porcelana. Wokół niej kołowały jakieś wielkie ptaki. Ewolucja i miliard lat nie zmieniły ich nie do poznania.

— Stara Ziemia nie wygląda na taką samą — wymamrotał Arnie.

Myśli Rudolpha Nowickiego ciągle krążyły wokół kaktusów.

— One są wspaniałe — oświadczył mało odkrywczo. — Zajęły się nawet irygacją dla siebie. No i zrobiły nas! A ten potwór, tam – prymitywnie, pośpiesznie – ale stworzony został na nasze podobieństwo, żeby nas pilnować, tak na wszelki wypadek. Przecież mamy obowiązki względem nich. Oczekuje się, że pójdziemy na zachód – do opuszczonego podziemnego miasta ostatnich okrutnych ludzi. Tam są maszyny. Kaktusy nie potrafią pracować z maszynami. Jest coś, co musi zostać zrobione, żeby powstrzymać śmiertelne zagrożenie…

Arnie uniósł wzrok na wujka Rydy'ego, którego oczy były wielkie i zaintrygowane.

— Zamknij się — miękko polecił mu Arnie.

Hipnotyczne brzęczenie pochwyciło go w swój uścisk, uśpiło, spowodowało, że miał ochotę zrobić to, o czym właśnie mówił mu wujek. Cała jego naturalna niezależność zbuntowała się przeciwko temu. Popatrzył na kaktusy – bulwiaste, kłujące masy szaro-zielonych roślin, z kilkoma mięsistymi liśćmi poznaczonymi błyszczącymi soczewkami oczu, które wyglądały na nerwowe i zaniepokojone. Arnie wiedział z całą pewnością, że potrafiły być one tak okrutne, jak żadne inne żyjące stworzenie. Ich diabelska obcość, szarpała mu nerwy.

To od nich dolatywało to brzęczenie, jak uspokajający monotonny śpiew demonów. Ale kiedy się o nim pomyślało, na ciele pojawiała się gęsia skórka. Teraz ponadto, w dolatujący dźwięk, zostały wplecione powtarzane rytmicznie słowa:

— Zachód – iść – zachód…

— Teraz mnie już załatwiły – w banalny sposób — warknął Arnie. — Te cholerne kaktusy nawet gadają!

— Och… Czy mówiłem ci już, Arnie? — powiedział Rudolph. — Laura musi też tutaj być. Włożyłem ją do schronu razem z tobą – wtedy. To ona musi być w tym kokonie, który jest ciągle zamknięty – tym z kawałkami ołowiu wokół niego.

Uczycie zgorzknienia i zimnej wściekłości w Arniem jeszcze wzrosło. Teraz jednak przynajmniej miał jakiś cel.

— Ten tam wygląda na tak silnego jak zaprzęg mułów, ale założyłbym się, że nie jest specjalnie mądry — szepnął do swego wuja.

Zanim Rudolph zdołał w ogóle się odezwać, Arnie wziął z ziemi za sobą duży, kanciasty kamień. Powoli podniósł się na nogi, uśmiechnął wyzywająco i syknął, żeby przyciągnąć uwagę potwora. Ogromna postać ruszyła w jego stronę, łapiąc się na przynętę jak naiwne dziecko. Był to

wytwór zaawansowanych, mądrych zasad innej nauki. Ale pod względem umiejętności fizycznego działania, rośliny, czy też zwierzęce twory roślin, nie mogły się mierzyć z wyćwiczonymi zdolnościami zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Kiedy potwór podszedł tak blisko, jak tylko Arnie ośmielił się go dopuścić, cisnął kamieniem prosto w jego bulwiasty, niebieskawy brzuch. Jego ciało było słabe i zmęczone, ale młode mięśnie poczuły straszliwy nakaz konieczności. Kiedy jego przeciwnik chrząknął i zatoczył się, Arnie rzucił się na niego, w groteskowej trawestacji potężnego pchnięcia. Stworzenie zakołysało się i upadło. Nie robiąc nawet jednego zbędnego ruchu, Arnie złapał ten sam kamień, który wcześniej rzucił, i zaczął mocno walić nim w głowę potwora, aż ten przestał się ruszać.

Potem Arnie skoczył do kokonów. Dwa z nich były nadal zamknięte. Laura musiała być w tym, wokół którego leżało mnóstwo kawałków ołowiu. Tak jakby rozrywane przez jakąś siłę ze środka, włókna korzeni zaczęły się rozdzielać, tworząc podłużną szczelinę.

Arnie zaczął walić kamieniem w szczelinę i podważać ją. Kiedy dotknął długich łodyg wystających z sękatych korzeni do których przymocowane były kokony, wstrząsnęło nim wyładowanie elektryczne z organów obronnych kaktusów. Pomimo tego zawzięcie kontynuował swoją pracę.

Brzęczenie stało się ostre i protestujące. Wmieszane w nie słowa, tworzyły szybki, gniewny rytm: „Zachód, zachód, zachód". Spróbował się pośpieszyć, żeby znaleźć się daleko stąd, zanim rozpoczną się bardziej niebezpieczne działania.

W końcu udało mu się otworzyć poobijaną skorupę. Wypłynęła z niej przejrzysta ciecz, odsłaniając podobną do ciała, pulsującą wewnętrzną powierzchnię. Przymocowane do niej były włókienka delikatniejsze od pajęczej sieci. Wyglądało to jak jakiś organ wewnętrzny, poddawany wiwisekcji. Życie, z całą swą złożoną magią, mimo wszystko może być czasami trochę obrzydliwe.

W środku była Laura, cała mokra i co najwyżej tylko mgliście świadoma, ale żywa. Policzki miała różowe. Poruszyła się lekko. Potem dostała ataku kaszlu. W ciągu godziny wyłoniłaby się z kokonu w sposób naturalny.

Arnie wziął ją na ręce. Nawet nie wiedział, że kiedy poczuł lekkie szarpnięcie, podarło się coś innego, nie jej zniszczone ubranie. Przepełniało go uczucie tryumfu.

— Wynośmy się stąd – szybko! — zawołał do wuja, który stał obok, oszołomiony przez nagły kierunek działań podjętych przez Arniego.

Arnie ruszył na północ, w stronę porozrzucanych lasów i wzgórz. Biegł z trudem, uginając się pod swym brzemieniem, odskakując za każdym razem na widok każdego niebiesko-zielonego kolczastego kształtu, który pojawiał się na jego drodze. Po chwili wydostał się z podłużnego pasma terenu, na którym rosły kaktusy.

— Dokąd idziemy, Arnie? — dopytywał się Rudolph Nowicki, podążając jego śladem.

— A skąd mam wiedzieć! — odpowiedział mu ostro Arnie. — Gdzieś indziej, niż jesteśmy teraz. Nie możemy przecież pozwolić, żeby te straszydła nami kierowały!

Kiedy poszli dalej, poruszając się teraz szybkim marszem, jego wuj nic nie mówił.

Arnie poczuł uniesienie wolności. Gniewne buczenie kaktusów cichło w oddali. Nie musiał już walczyć z tym dziwnym czarem, tym hipnotycznym nakazem poświęcenia. Teraz przemawiały do niego wzgórza i lasy, tak samo jak do ściganego niedźwiedzia, poszukującego schronienia.

Powietrze było chłodne i rześkie, niosło ze sobą leciutką woń dymu z palącego się drewna. Było jednak znacznie rzadsze od tego, do którego Arnie był przyzwyczajony – kolejny dowód starzenia się Ziemi. W takiej atmosferze człowiek szybko się męczył.

Po pięciu minutach, Rudolph powiedział:

— Wezmę na chwilę Laurę.

I tak, po kolei zmieniali się przy jej przenoszeniu. Ale kiedy dotarli do pierwszych drzew, musieli się położyć, żeby odpocząć.

Z tego co było widać wokół nich, drzewa straciły swe znajome cechy. Ich pnie były sękate, liście ciężkie i sztywne. Tak się różniły od drzew, które znał Arnie, jak tamte drzewa różniły się od pochodzących z epoki węgla kamiennego. Wyglądały na przystosowane do ekstremalnie surowego klimatu.

Dzikie kwiaty były wielkie, demoniczne, jednocześnie brzydkie i piękne.

— Lepiej nie traćmy czasu — wysapał po chwili Arnie.

Laura była zupełnie bezwładna. Kiedy Arnie podniósł ją ponownie, zauważył sączącą się strużkę krwi, spływającą po ręce, spod resztek rękawa. Nic nie powiedział. Nie mógł temu zaradzić. Może wszystko z nią będzie w porządku…

W górze zaczęły kołować duże czarne ptaki, podążając ich śladem, pokazując gdzie są każdemu kto ich ścigał, równie wyraźnie jak słup dymu pokazuje umiejscowienie ognia. Ich melancholijne krzyki „Kra… kra… kra…” bez żadnych wątpliwości wskazywały na ich pochodzenie; ale wydawały również inne odgłosy. Świergoty i podniecone gulgotania, które sugerowały artykułowaną mowę. Czasami, poszczególne ptaki przelatywały beztrosko niemal w zasięgu ręki ludzi, tak jakby chciały przyciągnąć ich uwagę. Dzięki temu Arnie zauważył, że ich czaszki są duże i mocno wybrzuszone ponad pokrytymi białymi powiekami oczyma.

Zaś na ziemi wydawało się, że towarzyszy im inna eskorta. Z kępy olbrzymich traw, których źdźbła miały dwa cale szerokości, były bardziej sztywne niż drewno, na brzegach miały zęby ostre jak piła, a zakończenia szpiczaste jak igła, wyjrzało na chwilę małe futrzaste stworzenie. Ostro pisnęło i znikło tylko po to, by chwilę później pokazać się znowu, spod jakiegoś iglastego krzewu.

Zwierzę przypominało pieska preriowego. Arnie natychmiast pomyślał o jedzeniu – mięsie – którego zdobycie mogło stanowić problem w tym dziwnym kraju. Coś jednak wywoływało w nim wątpliwości. Głowa

zwierzęcia była dziwnie wielka; jego oczy były za duże i za mądre. Tylko – co ono robiło? Skradało się od jednego krzewu do drugiego, a potem stawało słupka. Jak dotąd wszystko w porządku – nic nienormalnego. Ale jedną z przednich łapek trzymało wyciągniętą, dokładnie tak, jak wyciąga rękę człowiek który na coś wskazuje. Łapka na końcu miała małą, różową, brudną dłoń, z długimi pazurkami. Palec wskazujący bez żadnej wątpliwości pokazywał kierunek – przeciwny do tego w którym szli ludzie. Gestowi towarzyszyła gwałtowna sekwencja piśnięć, tak jakby życie gryzonia zależało od tego, czy ludzie posłuchają jego rady.

— Ewolucja późniejszych czasów, Arnie — wymamrotał Rudolph. — Kruki, pieski preriowe, w końcu rozwinęły prawdziwe mózgi. Zauważyłem, że niedawno chyba mijaliśmy osiedle piesków preriowych, tylko że z ich kopców unosił się dym, tak jakby ich mieszkańcy nauczyli się używać ognia i pod ziemią mieli działające piece.

Arnie Nowicki poczuł się jeszcze bardziej zagubiony na tej zmienionej Ziemi niż przedtem. Ale zawsze był naturalnym przyjacielem małych zwierząt.

— Co się dzieje… Dymku? — powiedział do gryzonia. — Chcesz powiedzieć, że ktoś nas ściga? Albo może chodziło ci o to, żebyśmy zabrali się do diabła z twojego terenu? Czy może ty też jesteś sługusem tych kaktusów i mówisz nam, że powinniśmy zrobić to, co od nas chcą? Hmm… niech mnie diabli jeśli to zrobimy…

Dymek zaświergotał i zniknął. Ale na krótko. Co chwila pojawiał się znowu, żeby powtórzyć swą gwałtowną gestykulację. Podążał za nimi nieustannie, kryjąc się w krzakach i trawach. Miał także towarzyszy. Ale biała plamka na futerku, na prawo od nosa, zawsze pozwalała go rozpoznać.

Najbardziej martwił się tym, co się działo z Laurą. Przez długi czas była zupełnie bezwładna. Jej ciało stało się popielate; ręce były zupełnie zimne. A ta złowieszcza stróżka krwi na ręce, ciągle płynęła. Ale w końcu dziewczyna znowu się poruszyła; Arniemu, który właśnie wtedy ją niósł, wydawało się to pokrzepiającą oznaką.

— Wyjąłeś ją ze skorupy włókien korzeni, Arnie — cicho powiedział Rudolph. — Być może było to konieczne. Ale nie powinieneś tego robić. Proces nie został w pełni dokończony – w jej przypadku…

Szli dalej powłócząc nogami. Niebieskie cienie, w miarę zbliżania się nocy, zaczęły się wydłużać. Krakanie i trzepotanie skrzydłami latających w górze kruków, stawało się coraz gwałtowniejsze. W popiskiwanie idących za nimi gryzoni wkradły się żałosne, rozpaczliwe tony. W końcu ptaki nie chciały już im dalej towarzyszyć. Zawróciły, kotłując się i kracząc. Kiedy odległość stłumiła ich krzyki, las zaczął wydawać się złowieszczo cichy. Z gryzoni podążał za nimi tylko Dymek. Ogromne emocje ośmieliły go w końcu tak bardzo, że aż wyszedł spod osłony krzewów, podchodząc tuż do ludzi i przez cały czas wskazując do tyłu, w stronę nizin. Raz nawet pociągnął Arniego za podarte spodnie.

Dotarli nareszcie do drzew, które w ogóle nie miały liści. Dalej za nimi stały już tylko gołe, pozbawione kory, pnie i gałęzie, w zapadającym zmierzchu wyglądające jak bielejące kości.

Potem, na ziemi i na zwietrzałych wapiennych skałach, zobaczyli czarne łaty, postrzępione na krawędziach, podobne do miejsc wypalonych w suchych trawach, nad którymi przeszedł ogień, pozostawiając nieregularne spopielone place. Czarne łaty były lekko zapadnięte poniżej powierzchni skały i ziemi, powiększając jeszcze wrażenie zjadania przez powolną chorobę. Tak naprawdę, może, materia zapadła się sama pod swym własnym ciężarem, stała się gęstsza, zajmując mniej miejsca.

— Jedno szybkie spojrzenie z bliskiej odległości — warknął Arnie. — Potem wynosimy się stąd. Zostań z tyłu, jeśli chcesz, wujku Rudy.

Ale Rudolph Nowicki pokręcił przecząco głową, chociaż jego policzki były blade z wyczerpania.

— Zaryzykuję razem z tobą — mruknął. — Zaszliśmy już tak daleko – a musimy się dowiedzieć. Jeśli wystawimy się tylko na krótko, prawdopodobnie nie będzie miało to znaczenia. To cholerstwo działa bardzo powoli – nie jest tak gwałtowne jak bomba atomowa. Promieniowanie musi być znacznie słabsze, chociaż w końcu skutek jest tak samo śmiertelny.

Arnie położył bezwładne ciało Laury na ziemi. Ciągle oddychała, a krew przestała jej lecieć. Co robić? Jego straszna troska o nią, nie znajdowała żadnej rozsądnej odpowiedzi. Na razie musiał odłożyć tę kwestię na bok.

Arnie i Rudolph podeszli do przodu i przykucnąwszy na brzegu łaty poczerniałego gruntu, przez chwilą uważnie jej się przypatrywali. Nie było zbyt wiele do oglądania. Żaden z nich nie odezwał się nawet słowem.

Czarna plama była podobna do matowego szkła, ale pod jej ciemną powierzchnią w zbierającym się mroku widoczna była poświata. Fosforescencja lub fluorescencja. Ponadto z tej amorficznej niestabilności atomów – materii – promieniowało ciepło. Mężczyźni czuli je na swych twarzach.

To co tutaj się działo, było procesem. Tyle można było powiedzieć. Arnie i Rudolph mogli snuć domysły na jego temat, wspomagani przez informacje, które kaktusy umieściły w ich umysłach. Atakował on strukturę atomową, zakłócając równowagę jąder i czyniąc je radioaktywnymi. Miał on charakter samopodtrzymujący, podobnie jak nieskończenie szybsza reakcja łańcuchowa w bombie atomowej. Ale także podobnie jak i ogień, czy też życie. Ponadto był on zaraźliwy – potrafił się powielać. Kaktusy, które w innych miejscach badały go umierającymi wypustkami i korzeniami, uważały, że przybył on na Ziemię z kosmosu, w małej grudce zakażonej materii.

A więc można było nazwać go żywym stworzeniem – bardzo prostego, nieczułego rodzaju, zupełnie odmiennym od poprzednio znanych na Ziemi. Żyło ono nie korzystając z energii chemicznej ale dzięki powolnemu uwalnianiu energii atomowej. Twierdzenie, że było ono żywe, można było oprzeć na fakcie, iż wcześniej nie było ono znane. A więc, musiało się gdzieś rozwinąć, tak samo jak każde inne żywe stworzenie. Ale jego promieniowanie czyniło je śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkich innych

istot żywych. Musiało więc zrodzić się gdzieś w głębinach tego obecnego późnego wszechświata.

Rudolph i Arnie już po chwili wycofali się z tego miejsca, z lekko uniesionymi włosami na głowie. Arnie znowu wziął Laurę na ręce i ruszyli z powrotem w kierunku wieży. Obaj nic nie mówili. Tylko Dymek okazywał wyraźną ulgę, szczęśliwie świergocząc.

Z wnętrza wieży zalatywało guanem i zeschniętymi resztkami padliny, upuszczonymi przez kruki podczas jedzenia. Rudolph jako lepsze schronienie wskazał głową rozciągające się w pobliżu krzaki. Arnie delikatnie okrył Laurę sztywnymi, suchymi liśćmi, ponieważ nic innego nie mieli. Potem ułamał kopnięciem źdźbło trawy, o długości niemal jarda, twardsze od dębu i ostrzejsze od miecza. Tłukąc w szerszy koniec kamieniem, ukształtował prymitywną rękojeść. Była to bardzo niebezpieczna broń.

Mężczyźni popatrzyli na Laurę z bezradnym bólem.

Rudolph nie do końca położył się sam. Po prostu opadł powoli na kolana, a jego wyczerpane ciało poddało się i osunęło na plecy. Już po dziesięciu sekundach zaczął chrapać.

Arniemu udało się ułożyć bardziej konwencjonalnie. Potwór ciągle ich szukał, a nie mógł być daleko. Szkoda, że nie dopilnował jego śmierci, kiedy miał szansę! Desperacko walczył ze snem. Ale było to beznadziejne.

— Dymku — wymruczał ochryple. — Wyglądasz na całkiem wypoczętego. Zostań w pobliżu. W razie czego mnie ostrzeżesz, dobrze? — Miecz leżał tuż koło niego.

Zanim sen go ogarnął, dostrzegł jeszcze jedną rzecz. Jakiś ruch, a potem żeńską twarz wyglądającą z ukrycia za krzakiem. Była wychudzona, pokryta bliznami i strupami, ale niewątpliwie młoda. Włosy wydawały się jasne, pomimo tego że były brudne i sterczały jak szczotka. Resztki ubrania ozdobione były złotymi ornamentami, których wzór przypominał dekoracje na porcelanowej wieży. Rysy twarzy nie były brzydkie, ale duże, blade oczy natychmiast przywodziły na myśl mieszaninę tępoty umysłowej, wielkiej samotności i tęsknoty. Wydała z siebie melodyjne świergotanie i zniknęła.

Otumaniony snem umysł Arniego, wspomagany przez przeszczepione przez kaktusy wspomnienia, zidentyfikował ją jako jedną z kilku osób, pochodzących z ciał zachowanych z przeszłości, znalezionych pod ziemią przez korzenie kaktusów i odtworzonych przez nie, w nadziei, że pomogą w rozwiązaniu ich problemu. Nie wiedział, że w swoich czasach była ona wielką damą, zabitą w wypadku. Ale tkanka mózgowa, zachowana w jej grobie, była niedoskonała. A więc miała mocno zaćmiony umysł.

Widząc ją, już niemalże na wpół spał i odebrał to zdarzenie jako coś w rodzaju snu. A chwile jego późniejszych przebudzeń, również przypominały fragmenty delirycznego koszmaru. To prawda, że musiał być chory z wyczerpania.

W rzadkiej atmosferze, utrata ciepła słonecznego po zachodzie słońca, była szybka. A więc, nawet latem noce musiały być bardzo zimne.

Raz, kiedy się obudził, zobaczył ogromny biały księżyc, wyglądający dziwnie, ponieważ znajdował się bliżej Ziemi niż kiedyś, którego światło

odbijało się od białego szronu. Czy naprawdę koło niego płonęło ożywcze ognisko, a on sam był grubo przykryty kłującymi liśćmi? Arniemu wydawało się, że na tle płomieni dostrzega małe, futrzaste sylwetki, ciągnące suche patyki, aby dołożyć do ognia.

Rudolph nadal spał, pod kolejnym stosem liści. Laura leżała najbliżej ogniska, ale jej małe dłonie były lodowate. Arnie próbował je rozetrzeć. Ledwie mógł wyczuć jej puls. Wewnątrz niego rozgorzała straszliwa walka, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl, zrodzona z desperacji.

Tymczasem uderzył kolanem w niewielki stos owoców w twardych skorupach. Kolejny przykład pomocy od Dymka i jego bandy. Arnie obrał brązową kulę skosztował jej mile kwaskowatego środka, a potem wycisnął sok w suche wargi dziewczyny, obserwowany przez trzymającego się w pobliżu przywódcę piesków preriowych.

— Dymek — wymamrotał Arnie. — Jesteś dobrym gościem. Ale założyłbym się, że masz znacznie lepsze powody, by utrzymywać nas przy życiu. Jesteśmy wielką nadzieją także i na wasze przetrwanie, co?

Zaczął się zastanawiać, jak twarda była Laura – nie była słabą niewiastą – nie w głębi serca. Częściowo to była jego wina, że była ranna. W gardle stanął mu jakiś ogromny ciężar. Próbował przez cały czas rozcierać jej ręce, lecz ponownie pokonało go zmęczenie i zasnął.

W ten sposób ominęło go pewne wydarzenie. Jednak nie Rudolpha. Małe, zrogowaciałe palce dotknęły jego znowu młodego policzka, w czułej, niemal gwałtownej, pieszczocie. Rudolph obudził się i zobaczył wspomnianą wcześniej żałosną dziewczynę. Wymruczał coś z niesmakiem i strachem i dziewczyna odeszła. Podobnie jak Arnie, on również wiedział kim ona była. Także i Rudolphowi wołanie jej głodnej uczuć samotności, zdawało się częścią snu, i zapadł w niego ponownie…

Później jeszcze Arniego obudziły odgłosy uderzeń gałęzi o coś wielkiego, nieostrożnie zbliżającego się przez las. Chwycił za swój miecz. Strach i gniew oczyściły jego zamglony umysł. Ruszył między cienie. Rozważnie zastanowił się co zrobić. Zaczekał na to olbrzymie cielsko, niezdarnie naśladujące ludzkie, aż niezgrabnie podejdzie bliżej. I znowu miał przewagę giętkości działania człowieka…

III
Obcy statek

Kiedy obudził się po raz trzeci, mroźnego poranka, nie był do końca pewien, czy ta walka nie była czasami koszmarnym snem. Ale kiedy zesztywniały i obolały wyszedł poza obozowisko, znalazł paskudne cielsko z rozprutym brzuchem. Miecz ze źdźbła trawy wbity był w jego serce.

Arnie Nowicki poczuł zmieszanie z powodu zbyt łatwego zwycięstwa.

Już wcześniej próbował tarciem przywrócić ciepło dłoniom Laury Knox. Nie mógł znaleźć pulsu, nie widać było oznak oddechu. Laura, którą kochał, nie żyła, albo była umierająca.

Zagubiony na tej obcej ziemi, która kiedyś była jego znajomym terytorium, miał tylko jedną nadzieję na ratunek dla niej. Aby tego dokonać, musiał przestać być Arniem Nowickim, człowiekiem nieprzystosowanym, gwałtownym indywidualistą, który przed nikim nie schylał karku. Oznaczało to dla niego więcej, niż sprzedaż duszy diabłu. Nie diabłu, kaktusom. Obcym istotom roślinnym, z cudowną wiedzą naukową, pochodzącą z innej ścieżki rozwoju niż ludzka. Czy były one stworami całkowicie okrutnymi, czy nie – to było nieistotne. Ważne było tylko to, że stanowiły one jedyne możliwe źródło pomocy.

Rozmyślania Arniego zderzały się gwałtownie z uczuciem ponurego gniewu. Ale jednak dojrzewał. Można powiedzieć, że nawet osiągnął pewien poziom powagi i spokoju.

Powlókł się do obozowiska i potrząsnął wujem, aby go obudzić. Obaj byli w złym stanie. Rany spowodowane przez ostre trawy, przez noc popuchły. Rudolph popatrzył na Laurę niepewnym, zaniepokojonym spojrzeniem.

— Arnie — wycharczał. — Jeśli ona umarła i jej mózg zaczął się degradować, to nawet kaktusy prawdopodobnie nie będą w stanie doprowadzić jej do poprzedniego stanu.

— W porządku! — ostro warknął Arnie. — Idziemy z powrotem!

Apatycznie zjedli owoce przyniesione przez rodaków Dymka. Potem ruszyli w drogę powrotną, niosąc Laurę. Na długo przed południem, ból i nieustanne trudy, które nastąpiły szybko po ponownych narodzinach, zaćmiły im umysły, tak że aż wydawało im się, iż między nimi a rzeczywistością zawisła gęsta mgła.

— Nie damy rady tego zrobić — powiedział Rudolph.

I właśnie wtedy na ich drodze pojawił się potwór podobny do tego, którego zabił Arnie. Ewidentnie otwarty został kolejny kokon.

Pierwszym impulsem Arniego była walka z ogromnym stworzeniem – nawet jeśli nie miał ani sił, ani ochoty, teraz kiedy już się poddał. Opanował to pragnienie. Ale nie podejmując ryzyka, potwór uderzył wielkim, krzywym łapskiem. Potem uderzył ponownie. Kiedy Rudolph padał na ziemię, usłyszał jęk udręki, dochodzący na ten widok z pobliża.

Niedorozwinięta dziewczyna skrycie szła za nimi.

Obaj Nowiccy, nieprzytomni, zostali odtransportowani tam, skąd przyszli, na pas ziemi porośnięty przez kaktusy. Po krótkiej przerwie przeniesiono ich kilka mil na zachód, do opuszczonej podziemnej metropolii ostatnich ludzi. W jednej z komór, w pobliżu powierzchni, leżeli przez dłuższy czas, przykryci kocami, które Dymek i potwór znaleźli w pomieszczeniach magazynowych miasta. Utrata przytomności od ran i wyczerpania, zmieniła się w normalny sen.

Arnie został obudzony przez Rudolpha.

— Jesteśmy tu, Arnie – tu gdzie mieliśmy pracować nad naszą ludzką magią nauki — powiedział.

Wokół nich błyszczały metalowe ściany. Kryształowe rury przymocowane do sufitu, miały prawdopodobnie dostarczać światła, ale obecnie nie działały. A jednak mieli oświetlenie – delikatną, zielonkawą poświatę, łagodną dla oczu i odpowiednio jasną. Wydobywała się ona z obiektów, przypominających kształtem i budową makówki, chociaż miały one stopę średnicy.

Początkowo trudno było sobie wyobrazić, że wyrastały one na grubych, kosmatych łodygach, sterczących ze zdrewniałej masy, która wcisnęła się siłą do środka przez łączenie w metalowej ścianie. Płyty w tym miejscu zostały wygięte i rozerwane, przez powolny nacisk odrostów roślin. Eksplorujące korzenie kaktusów wdarły się w ten sposób do tej komory, przynosząc ze sobą nawet to zimne światło. Urządzenie, które je wytwarzało, było ich kolejnym wynalazkiem, wyhodowanym tak, by odpowiadać wcześniej zaplanowanym specyfikacjom.

Szukając jego odpowiednika w naturze, można by tu przypomnieć, wytwarzające światło organy ogników, wykorzystujące powolne, niemal niewytwarzające ciepła spalanie specjalnego oleju.

Arnie bez wielkiego zaskoczenia przyglądał się temu pomniejszemu osiągnięciu kaktusów. W tym wielkim warsztacie było znacznie więcej do oglądania. W masie zdrewniałych korzeni, połyskiwały soczewki oczu, uważnie obserwujących ludzi. Na podłodze rozpościerały się wypustki, obmacując bez wątpienia jakiegoś rodzaju pojazd powietrzny, czy kosmiczny, o długości trzydziestu stóp, wyposażony w krótkie i grube skrzydła oraz silniki odrzutowe.

Drzwi do kabiny statku były uchylone, a do wnętrza wrastały wypustki, jak pnącza. Ich celem było badanie przyrządów sterujących. Podobnie inne wypustki spenetrowały dysze silników, a cała ich wiązka udrapowana była, jak włosy Gorgony, na cylindrycznym urządzeniu, zamontowanym na dziobie pojazdu.

— Kiedy przychodzi do badania maszyn zbudowanych przez człowieka, są bezradne — skomentował to Rudolph.

Łatwo było dostrzec prawdziwość tych słów. Wypustki kaktusów nie były w stanie poruszać się na tyle szybko, aby kierować jakimkolwiek pojazdem, i prawdopodobnie brakowało im sprawności manualnej. Metale w większości pozostawały poza zakresem ich wiedzy. Ludzkie wynalazki zdawały się tak dalece przekraczać ich możliwości, jak ich wynalazki z pewnością pozostawałyby poza zasięgiem ludzi. Tutaj, od lat próbowały bezowocnie użyć urządzeń pozostawionych przez swych ostatnich wrogów.

Tu i ówdzie na posadzce warsztatu, leżało kilka szkieletów tych ostatnich. Ta ostatnia rasa ludzka była drobnej budowy. Momentalnie obaj Nowiccy przesondowali wspomnienia na temat ich wyginięcia, które zostały wprowadzone im do mózgów. Dokonały tego zarazki chorobotwórcze – śmiertelna zaraza, która się nie ujawniała, dopóki nie została osiągnięta ostatnia jej faza, kończąca się śmiercią. Do tego czasu, zarażona była nią już cała rasa.

— To kaktusy stworzyły zarazki tej choroby — zadumał się Rudolph. — Początkowo mikroby te były komórkami z ich własnych ciał. Potajemnie

udało im się zainfekować jednego z ludzi, przy pomocy wydrążonego ciernia…

Arnie wzruszył ramionami. Ci ludzie próbowali zniszczyć kaktusy jako pierwsi.

Obok czegoś podobnego do tokarki, przycupnął potwór, który przyniósł tu Nowickich. A z pobliskiego zaułka wyglądał Dymek. Po chwili z kąta wyjrzała również jasnowłosa dziewczyna. Pokazała na siebie ręką i powiedziała:

— Cyu.

Jej zamglony wzrok utkwiony był przez cały czas z ogłupiałym uwielbieniem w Rudolpha. Wyglądało to żałośnie i odpychająco. Nie było jednak z nimi Laury Knox.

— Ona pewnie jest gdzie indziej, bezpieczna — powiedział sobie z nadzieją Arnie.

Z bębenka głosowego bladego, mięsistego liścia wyrastającego z masy przebijających ścianę korzeni, zgrzytliwie zabrzęczał głos:

— Maszyny zbudowane przez ludzi… Ludzka nauka… Praca, praca, praca…

Arnie i Rudolph wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na stojący pośrodku pomieszczenia statek. To prawda, był to wytwór ludzi. Ale Arnie, uderzony na jego widok własną niewiedzą, nie był już taki dumny z tego że jest człowiekiem. Nigdy nawet nie latał samolotem.

— Musimy nauczyć się nim latać — odparł Rudolph. — Dla dobra Laury.

Arnie odwrócił się w stronę tych lśniących oczu-soczewek.

— W porządku — warknął. — Myślę, że trochę się nauczyliście naszego języka z naszych umysłów. Wiemy, że chcecie byśmy użyli wiedzy naukowej i broni, którą mieli ludzie z tego miasta, do pozbycia się tej czarnej radioaktywnej korozji, widzianej przez nas na wzgórzach. To diabelstwo, z czasem, może zabić wszystkie inne żywe stworzenia na Ziemi. Dobrze – podejmujemy się tej roboty. W zamian, oczekujemy dobrego traktowania. Była z nami również dziewczyna. Teraz jej nie ma. Oczekujemy, że ona do nas wróci. Jeśli ona lub ktokolwiek z nas zostanie skrzywdzony, na miłość Boską, obiecuję, że wyrównam rachunki! Wykorzystam te urządzenia do innego celu. A więc… żadnych sztuczek. Żadnego hipnotyzowania i tym podobnych rzeczy. Zrozumiano?

Soczewki oczu wydawały się mierzyć Arniego badawczo, jak oczy jakiegoś bezwzględnego i sprytnego hazardzisty, któremu nigdy nie można ufać. Nastąpiła chwila przerwy. Potem bębenek głosowy głośno i radośnie zabuczał:

— Tak… tak… tak… Praca… praca… praca…

Nowiccy ponuro wzruszyli ramionami. Musieli podjąć ryzyko.

Dymek zaświergotał, wskazując na stos rzeczy, które razem z potworem musiał wykombinować z tego samego źródła zasobów, z którego pochodziły koce. Dostali ubrania z tkaniny o metalicznym połysku,

ale miękkie i ciepłe w dotyku. Także przezroczyste słoiki z owocami i jarzynami i z czymś wyglądającym na mięso, aczkolwiek nie było widać związku z żadną częścią ciała jakiegokolwiek zwierzęcia. Sugerowało to jego syntetyczny charakter.

Arnie znalazł sposób, by zachichotać.

— Jeśli ewolucja uczyniła wszystkie żywe stworzenia równie inteligentnymi co ty, Dymku — powiedział, — tylko kanibal mógłby je zjadać.

Zaczęli jeść, stwierdzając, że te pochodzące sprzed wielu wieków produkty, były całkiem smaczne. Pomyśleli o możliwości infekcji zarazą – ale metoda konserwowania żywności, z pewnością ją również wysterylizowała. A na opakowaniach, po tych kilkuset latach, wszystkie zarazki pewnie też już wyginęły.

Nowe ubranie Arniego było obcisłe i źle dopasowane. Ale nigdy nie był specjalnie wybredny jeśli chodzi o ubiór.

Rudolph i Arnie wzięli się za swoje zadanie. Łagodnie odciągnęli wypustki od pojazdu na środek podłogi, aby dobrze mu się przyjrzeć. Niektóre z tych roślinnych macek zostały w trakcie tego procesu rozerwane – nie okazywały jednak oznak bólu.

Prawdopodobnie Nowiccy mogliby spędzić nawet i pięćdziesiąt lat na próbach zrozumienia zaawansowanych lecz zwodniczo prostych urządzeń, nie poznając ich głębszych sekretów. A jednak podstawowe zasady ich działania, wkrótce stały się zupełnie jasne. Napęd wyraźnie miał charakter nuklearny.

Wewnątrz każdej dyszy silnika widać było gruby przewód, który, w panującym półmroku, emitował słabą poświatę, wskazującą, że jest on radioaktywny. Same końce przewodów wyglądały na lekko wypalone. Dookoła otworów dysz, umieszczono szarawe zęby wystające w stronę tych wypalonych końcówek. Z zębów najprawdopodobniej wyrzucane były wolne neutrony, uderzające w zakończenia przewodów, powodując ich powolne „wypalanie”, w miarę rozszczepiania atomów z których się składały. Dawało to w wyniku stały, potężny odrzut, zamiast straszliwej gwałtowności procesów w bombie atomowej.

W każdym silniku przewód nawinięty był na bęben, który powoli był obracany przez przekładnicę ślimakową. A więc, w miarę jak zakończenie przewodu ulegało stopniowej dezintegracji, skracając go, dalsze jego odcinki automatycznie wsuwane były przez niewielki otwór do komory spalania.

Wewnętrzna struktura cylindra, czyli broni zamontowanej na dziobie statku, była podobna, tyle że na mniejszą skalę. Poza tym dodano tam interesujące filtry promieniowania.

— Zdaje się, że przypominam sobie coś, co kaktusy umieściły mi w głowie — zauważył Rudolph. — Rozumieją one strukturę atomu oraz co trzeba zrobić, aby zniszczyć czarną korozję materii. Wiedzą także, że ten cylinder ma kluczowe znaczenie. Brak im tylko praktycznego podejścia do urządzeń z metalu. Znajdujące się w cylindrze filtry umożliwiają mu wytwarzanie, w czystej formie, specjalnego promieniowania, śmiertelnego dla życia ziemskiego, ale także dla korozji – na tym polega nadzieja

kaktusów. Korozja, zasadniczo, związana jest z brakiem równowagi w jądrach atomowych, zaś promieniowanie to przeciwdziała tej nierównowadze, doprowadzając atomy z powrotem do ich normalnego, nieradioaktywnego stanu. A przynajmniej ja tak to widzę, Arnie.

Zdolności Arniego predestynowały go raczej do wymyślenia sposobu użycia broni oraz sterowania statkiem. Na razie wyglądał więc na dosyć zmieszanego. Wkrótce jednak ponownie szeroko się uśmiechnął, niemal z optymizmem.

— Nie wzięliśmy pod uwagę jednej rzeczy — powiedział. — Im bardziej zaawansowana mechanika, tym bardziej urządzenia sterujące są uproszczone i idioto-odporne, a nie skomplikowane! Ten statek ma po prostu przepustnicę, drążek sterowniczy, orczyk oraz – jak mi się wydaje – ukryte urządzenia zabezpieczające. A więc może rzeczywiście uda nam się polecieć tym czymś, nawet jeśli to zabije klina kaktusom. Wiesz, co musiało ich tak kompletnie zastopować? Niemalże trzeba im współczuć – są takie mądre, a jednocześnie tak głupie! Kluczyki do tego całego ustrojstwa – tak jak w samochodzie! A one wisiały tutaj przez cały czas, pod stacyjką. Niech to licho!

Po chwili Arnie kontynuował:

— Rura broni chyba przesuwana jest tą dźwignią, a strzela się tą. A więc, jeśli uda nam się znaleźć trochę oliwy do drobnych elementów i otworzyć ten wielki właz wejściowy…

Wskazał na podwójne szyny, które unosiły się stopniowo jak rampa, spod kilu pojazdu, prowadząc do wielkiego włazu w suficie. Widać było koła zamków, przy pomocy których właz można było otworzyć ręcznie, gdy zawiodło zasilanie. Odporny na rdzę metal jasno błyszczał i wyglądał jak nowy.

— No dobrze, Arnie, spróbujmy najpierw tego włazu — warknął Rudolph.

Nawet przy pomocy mechanicznego wspomagania przez system przekładni, zebrany przez stulecia na górnej powierzchni wrót piasek i gruz, uczynił tę pracę ciężką harówką. Ale w końcu pokrywa włazu stanęła otworem, stercząc do góry na zawiasach i wpuszczając do warsztatu światło późnego popołudnia z otwartego nieba.

— Dymku, teraz pokaż nam gdzie jest część magazynowa — ponaglił go Arnie. Wskazał ręką na inne rzeczy, które przyniósł przywódca gryzoni, a potem na ciemny korytarz, wychodzący z pomieszczenia.

Potwór również się przyłączył, tak samo dziewczyna, która teraz na swoje łachmany ze złotymi zdobieniami, założyła nowe ubranie. Obaj Nowiccy po raz pierwszy widzieli podziemne miasto. Tu i ówdzie paliły się lampy, które działały, jak się wydaje, na zasadzie radioaktywnej fluorescencji. Inne miejsca, gdzie wdarły się korzenie kaktusów, oświetlał blask świecących makówek.

Kurz i cisza zalegały grubą warstwą w pokrytych arkadami alejach. Wszędzie leżało pełno szkieletów. Maszyny i wielkie statki kosmiczne stały w milczeniu. Po godzinie ludzie wrócili z komór magazynowych, z przezroczystym kontenerem, opatrzonym dziwnymi napisami. Ale wcześniej go otworzyli, żeby sprawdzić zawartość.

Po niedługim czasie, Nowiccy przypięli się pasami do foteli w kabinie statku. Potwór był za głupi, aby zrozumieć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w jednej chwili zostawią go daleko za sobą. Dymek odsunął się do tyłu, nerwowo świergocąc. Posiadał swoisty rodzaj odwagi, ale nawet jeśli pośród jego gatunku przetrwały jakieś legendy o latających maszynach, on nie miał zamiaru korzystać z takich wynalazków.

Natomiast bezimienna dziewczyna, jakby mgliście pamiętając latające pojazdy swej własnej ery, zaintrygowana weszła na pokład, świergocząc jakieś melodyjne słowa, głosem który był jedną z pięknych rzeczy, które jej pozostały, i próbując po omacku przypiąć również i siebie do fotela. Rudolph, popychany litością, stanowiącą część jego łagodnej natury, odwrócił się by jej pomóc. W odpowiedzi posłała mu psie spojrzenie. Z zaćmionym umysłem, śliniąc się, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, widać było, że więcej w niej jest zwierzęcia niż człowieka.

Kiedy Arnie nacisnął dźwignię przepustnicy, z silników rufowych buchnął niebieski płomień. Po chwili otworzył ją na pełną moc. Rozległ się przyciszony ryk. Szczęśliwie ich pojazd wycelowany był w niebo, gdzie nie było niczego, w co mogliby uderzyć. Arnie przesunął przepustnicę z powrotem w środkowe położenie. Statek wyrównał. Odkrycie to nie było specjalnym zaskoczeniem, ale poza wyborem wysokości i kierunkiem na kompasie, ta wyrafinowana maszyna potrafiła latać właściwie sama.

— Na razie wszystko w porządku — odetchnął z ulgą Rudolph.

Arnie skierował się na północ, lekko ku wschodowi, w stronę pasma wzgórz i znajdujących się tam czarnych plam. W minutę pokonali odległość, której przejście kosztowało ich tak wiele wysiłku i trudów. Nawet na tej znacznej wysokości, na której lecieli, słońce chowało się za horyzontem. Na ziemi wszystko ogarnął już zmrok. Tak więc widzieli zarówno czarne łaty, jak i emitowaną przez nie słabą, złowieszczą poświatę.

Arnie pchnął drążek sterowniczy do przodu i wszedł w stromy ześlizg. Rudolph położył ręce na przyrządach sterujących broni na dziobie. Użył jej z odległości mili. Wiązka, która wystrzeliła do przodu, przypominała z wyglądu promień reflektora, zabarwiając lekką mgiełkę wiszącą w rzadkim powietrzu na błękitnawy, jasny kolor. Ale kiedy dotknął on poznaczonych czernią skał, natychmiast rozbłysła w tym miejscu czerwona gorąca poświata.

Arnie uniósł maszynę, a potem ponownie poszybował w dół, zaś Rudolph kontynuował ostrzał z broni, zalewając zainfekowaną ziemię i skały wysyłanymi przez nią promieniami.

— Jestem pewien, że potraktowaliśmy promieniami każdy milimetr kwadratowy korozji na tym obszarze — w końcu oznajmił Rudolph. — A teraz poczekajmy i jeszcze trochę się rozejrzyjmy.

Przez pewien czas krążyli więc po niebie i w ciągu następnych kilku godzin znaleźli i zniszczyli kolejnych dziewięć ognisk korozji.

— Co z robimy z tą dziewczyną? — zapytał Arnie.

— A co zrobimy z czymkolwiek? — zachichotał z zatroskaniem Rudolph. — Jesteśmy tak samo zagubieni na tej obecnej Ziemi, jak i ona. Jak moglibyśmy do niej się dopasować? Jest nas tylko dwóch – troje, jeśli uda nam się odnaleźć Laurę. Jedyni inteligentni ludzie na całym świecie – w tej erze. Udało nam się coś zrobić dla kaktusów. Byliśmy dla nich użyteczni. Ale nie możemy im teraz zaufać – ani one, nam. Jesteśmy za bardzo odmienni od siebie. A kaktusy kiedyś toczyły z ludźmi wojnę. Równie dobrze mogła ona zakończyć się ich porażką. A więc, jak mogłyby dla nas zaryzykować, nawet gdyby czuły do nas jakąś, mało prawdopodobną, sympatię.

Wszystko co widzieli zdawało się wspierać ten tok rozumowania. Pod nimi, w świetle fantastycznego księżyca, mila za mil przemykało zupełne pustkowie. Pojawiały się tylko pasma terenu, geometrycznie regularne jak kanały na Marsie, gdzie rosły kaktusy. Wszędzie indziej widać było wzgórza, tereny pokryte niezwykłymi lasami, otwarte pustynie i ginące morza. Księżycowa poświata zdawała się pokrywać wszystko matowym srebrnym pyłem. Błyszczące metalowe kopuły wskazywały położenie podziemnych metropolii, zbudowanych przez ostatnich ludzi, których kaktusy wybiły przy pomocy zarazy. Ale widoczne na tych kopułach światła, były tylko odbiciem blasku księżyca.

Miasta łagodniejszej rasy ludzkiej, której cywilizacja rozkwitała wcześniej, wyglądały nawet na jeszcze bardziej opustoszałe. Zniszczone porcelanowe wieże górowały ponad ruinami warsztatów, centrów handlowych i laboratoriów. Wszystko zatopione było w cienistym spokoju, w którym nieartykułowane okrzyki Cyu – łkania, tak naprawdę – zdawały się wyrażać niepowetowaną utratę w tej rzece czasu, wszelkich powodów do życia. A dla niej przecież otchłań eonów nie była nawet w przybliżeniu tak duża, jak dla Nowickich. Ich era leżała miliard lat w przeszłości! Nawet konstelacje gwiazd nie były już możliwe do rozpoznania.

Od czasu do czasu, pod statkiem widać było czerwony poblask ognia, bez wątpienia wskazujący miejsca kolonii gryzoni, które, tak jak inne zwierzęta pochodzące z Ziemi, przesunęły się na drodze ewolucji, do poziomu umysłowego ludzi pierwotnych.

Być może, któryś z tych ogni był oznaką smutnego obozowiska jednego z ludzi o zaćmionych umysłach, ożywionych przez kaktusy, ze zwłok niedokładnie zachowanych przez wieki, przez suchość pustyni, grobowca, przypadki zachowanych w całości zbiorników z okazami, w ruinach jakiegoś starożytnego laboratorium medycznego – czy też inne niezwykłe warunki? Istniało około trzydziestu takich ludzi – wyrwanych z wielu różnych okresów historycznych, wszyscy prawdopodobnie znacznie bliżsi współczesności, niż Nowiccy. Roślinne stworzenia miały nadzieję na uzyskanie z ich strony pomocy; ale okazali się bezużyteczni. Teraz byli tylko porzuconymi anachronizmami – zagubionymi duszami, ledwie zdolnymi aby o siebie zadbać. Arnie jednak zastanawiał się, czy pozycja jego samego i wujka na pewno była znacznie lepsza.

— Człowiek ma ochotę ruszyć w kosmos – niemal — gderał pod nosem. — Spróbować znaleźć jakichś prawdziwych ludzi…

*****

Wkrótce po wschodzie słońca, przybyli nad wielki otwarty właz, z którego poprzedniego wieczora wylecieli swym statkiem. Pojazd próbował teraz wylądować automatycznie, wspierany przez jakiś mechanizm wspomagający. Arnie jednak przejął sterowanie ręczne i zmusił go do dalszego lotu na niewielkiej wysokości, aż w końcu Rudolph dostrzegł kokony. Zeszli w dół, wysuwane koła zatrzęsły się na kamienistej ziemi.

Musieli tu wrócić, żeby spróbować odnaleźć Laurę. Nie było innej możliwości. To była smycz, na której trzymały ich kaktusy. Jak bardzo obcy i niepojęty sposób myślenia za tym stał? Jak wielkie było niebezpieczeństwo pułapki, zastawionej przez istoty, które może nie mogły sobie pozwolić na permanentne uwolnienie inteligentnych ludzi? Tak, Nowiccy byli bardzo podejrzliwi. Ale ogarnął ich bezradny fatalizm. Nie mieli miejsca, w które mogliby się udać. Niemalże było im wszystko jedno, co się stanie.

Kiedy podążali pośpiesznie w miejsce, gdzie znajdowały się schnące teraz kokony, Rudolph wziął Cyu za brudną rękę, aby okazać jej współczucie. Jej ewidentne poświęcenie dla niego, wzmocniło naturalne więzy litości. Musiał być uprzejmy dla tego biednego stworzenia. Rudolph już taki był.

Znaleźli tam Laurę Knox. Stała nad kokonem, który należał do niej. Na widok Arniego, jej oczy zaświeciły się z ulgą po przeżytej grozie. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Och, Arnie... i Rudy! — wyjąkała. — Ten potwór musiał wsadzić mnie z powrotem do kokonu. I znowu czuję się dobrze! Ale... Nie chciałam się zgubić...

— Dotrzymali warunków umowy — wysapał z niedowierzaniem Arnie. Gorączkowo zaczął zrywać palcami mocne wypustki kaktusów, otaczające jej ciało. Rudolph podszedł, aby pomóc.

Być może ta chwila wiary w ich dobre intencje, stanowiła część strategii rozbrajającej, przyjętej przez kaktusy. Ponieważ zaraz inne wypustki zaczęły z wolna zachodzić obu mężczyzn od tyłu. Wydrążone ciernie niemal równocześnie wbiły im się głęboko w nogi. Ich ciała szybko zaczęło ogarniać odrętwienie, na skutek użycia jakiegoś narkotyku, lub trucizny. Arnie i Rudolph upadli na ziemię, słysząc w tej samej chwili wystraszony krzyk biednej Cyu i świergoczący, namiętny protest Dymka, który był gdzieś w pobliżu.

Arnie Nowicki chyba nie do końca stracił wtedy przytomność. Ale być może odpłynął na parę godzin, lub nawet tygodni. W każdym razie był to dla niego początek gorzkiej, na wpół sennej egzystencji przerywanej i niepełnej. Całkowicie i kompletnie beznadziejnej, z widmem śmierci wyłaniającym się na końcu. Jaką wartość miało tutaj przywrócenie mu życia i sił życiowych? Czasem Arnie był mgliście świadomy, czasem oszołomiony, albo spał. Czasami wokół niego była mroźna noc, a czasami gorący dzień. Wokół niego i jego towarzyszy wyrastało coraz więcej wypustek. Przynajmniej działały one jak ciepłe ubranie. I może włókna wnikające w ich mięśnie, odżywiały ich od wewnątrz. Cyu była całkowicie

otoczona – pogrzebana w tych straszliwych wypustkach. Twarze Arniego, Rudolpha i Laury pozostały odsłonięte.

Czasami Arnie słyszał Laurę, mówiącą żałośnie, płaczliwie:

— Założę się, że Ziemia będzie odpowiednim miejscem dla życia ludzi, przez następny miliard lat, Arnie. Gdybyśmy tylko zdołali uciec! Moglibyśmy pójść na te wzgórza, zbudować mocną chatę z bali. Mielibyśmy ogród. Wybralibyśmy Rudy'ego na sędziego pokoju. Pobrali się. Mieli dzieci…

Pojawiał się w tym nawet ślad humoru. Ale w większości była to zgorzkniała, pozbawiona nadziei furia.

— Taaa, Laury — zdołał wyjęczeć Arnie; a potem spróbował wyszarpnąć się otaczającym go wypustkom. Ale nie mógł odsunąć ich nawet o włos.

Wszędzie dookoła było pełno błyszczących soczewek-oczu kaktusów; a ich brzęczenie wypełniało im uszy – a jednak przy tak mocnym fizycznym uścisku, nie było powodów by niewolić jego umysł hipnotycznie. I tak był kompletnie bezradny. Pomimo wszystko, musiały go ciągle badać, czytać jego myśli, przy pomocy drobniutkich jak włos wypustek, które zagłębiły się mocno w jego ciało – bezboleśnie, jakby ich ostre jak igła zakończenia, miały w sobie środek znieczulający.

Te same straszliwe przeżycia przechodził także Rudolph. I często mówił do Laury, teoretyzując, wyjaśniając:

— Kaktusy skończyły z nami – już im nie jesteśmy potrzebni. Muszą jednak dokonać badań nad nami – do wykorzystania w przyszłości – zanim nas zniszczą. Już kiedyś pokonały ludzi. Jesteśmy dla nich zbyt obcy, zbyt silni, zbyt odmienni. A kaktusy myślą chłodno i praktycznie, nie podejmą więc ryzyka. Ale jesteśmy pluskwami, które można przebadać…

Nastąpiło dziwne porozumienie umysłów. Arnie zaczął wychwytywać echa myśli roślin, wspomnień, nieufności i wątpliwości. I wszystkim, czym mógł z tym walczyć, sprzeciwiając się kaktusom, były jego własne myśli i emocje.

Gniew. Nienawiść oparta na błędzie. Szalone wyzwanie. A potem to pełne goryczy wieczne pytanie, które często wypowiadał na głos:

— Do diabła! Dlaczego dwie inteligentne formy życia nie miałyby żyć razem w harmonii i zaufaniu do siebie? Mniej inteligentne stworzenia tak robią. Mrówki i mszyce. Pszczoły i rośliny kwiatowe. Dlaczego kiedy pojawia się inteligencja, zawsze staje się to takie trudne? Nawet między istotami tak podobnymi do siebie, jak różne rasy ludzi? Dlaczego? Dlaczego? Istnieje nawet naukowy termin dla tego rodzaju współpracy. Symbioza…

Z myśli i słów Arniego biła gorzka pogarda dla tej głupoty. Nawet teraz, nawet pomimo swojej własnej ludzkiej bezmyślności, przez cały czas dojrzewał. Być może sięgnęło to nawet bardzo głęboko, w jego wspomnienia o Robie Corsonie, dawnym wrogu. Przenikała go niechęć, ból. Niechęć, względem obcych pogromców; ale także niechęć względem tak ogromnych rozmiarów tępoty i braku zrozumienia w całej historii ludzkości.

Myśli Rudolpha i Laury wkrótce zaczęły podążać za jego przewodnictwem, rzucając to samo wyzwanie i sprzeciw. I często Arnie dodawał kolejne argumenty, mówiąc na głos:

— Co zrobicie, wy cholerne kaktusy, jeśli korozja nie została do końca zniszczona – albo jeśli kiedyś powróci? I – czytając każdą naszą myśl – musicie wiedzieć, że jesteśmy szczerzy. A przynajmniej próbujemy tacy być – i mam nadzieję, że jesteśmy! Wymiana myśli powoduje, że wszelki brak szczerości jest niemożliwy…

I tak refren myśli Arniego Nowickiego oraz jego towarzyszy powtarzał się na okrągło – przez całe rozmywające się dni i tygodnie. Noce i dnie mijały. Deszcz i wiatr, ciepło i zimno. Do tej pory jednak kaktusy nie odesłały im w odpowiedzi ani jednej myśli.

Wydarzyły się pewne rzeczy. Wykonując jakieś hipnotyczne rozkazy istot, które je ożywiły, zaczęli przybywać bezrozumni ludzie z różnych er, w strzępach ubrań o różnych stylach. Niektórzy z nich bez wątpienia pokonali tysiące mil na własnych nogach, z miejsc gdzie znajdowały się kokony z korzeni, w których ich ożywiono. W końcu zebrało się kilkanaście tych biednych, brudnych, pustookich stworzeń – wszystkie one zostały uwięzione przez otaczające je wypustki. Prawdopodobnie zrobiono to w celu ich zgładzenia. Nawet oni potrafili szybko się poruszać i mogli użyć broni. Nawet oni byli niebezpieczni. To, że żałośnie kwilili, nie miało znaczenia.

Arnie Nowicki był już niemal gotów, żeby się poddać. Słabe marzenie, który wzbudziła w nim Laura – o udaniu się do najbliższego podziemnego miasta po zapasy i narzędzia, zbudowaniu domu i podjęciu walki o osiągnięcie czegoś, co mogłoby mieć jakieś znaczenie, stawało się w miarę upływu czasu, coraz słabsze. Nieregularne okresy świadomości, przeplatały się z chwilami jakby z narkotycznego snu. Śmierć, jak podejrzewał, jest już bliska. Dla Rudolpha, Laury, niego samego i wszystkich pozostałych ludzi.

To był jeden z powodów, dla których pewne przebudzenie było takie dziwne – był już ponad to, by cokolwiek mogło go wystraszyć. Jasno świeciło poranne słońce. Dymek świergotał, jakby ze strachu, czy emocji. Laura krzyknęła:

— Arnie! Rudy! Popatrzcie!

Rozległo się nawet kilka nieartykułowanych krzyków tych żałosnych ludzi z różnych er – tych, którzy nie zostali jeszcze całkowicie otoczeni wypustkami.

Dwa jardy dalej stała dziewczyna – jasnowłosa, piękna, w jakimś dziwnie pomieszanym ubraniu. Wydawała się obca, a jednocześnie, nie tak do końca obca. Być może zaimplantowana pamięć pomogła Arniemu zrozumieć co się tutaj dzieje. Cudowne, a jednocześnie logiczne umiejętności kaktusów, które wykorzystały siły życia, do ożywienia umarłych. Zaś obecny cud był mniej poruszającą rzeczą, ale tego samego rodzaju.

— Cyu! — zawołał Arnie. — To jest Cyu! Kaktusy zamknęły ją w kokonie – żeby odtworzyć jej mózg – odwzorowując to, co zostało wcześniej zniszczone przez niewłaściwe zachowanie, na wzór naszych mózgów, które były kompletne!

Była to prawda. Musiało tak być. W bladych oczach Cyu, aczkolwiek oszołomionych, widać było trudną do pomylenia iskierkę inteligencji. I to uczyniło ją piękną! A wewnątrz jej kokonu musiały znajdować się jakieś płyny, które umyły ją do czysta.

Jej dumne spojrzenie przyciągnął natychmiast Rudolph. Na twarzach ich obojga widoczna była czułość i miłość.

— Cyu! — powiedział.

— Tak… Cyu — odpowiedziała mu. — To moje imię. Córka Ey-leu, jak wy byście to powiedzieli – rzeźbiarza… Znam trochę wasz język… jego słowa one… umieściły w mej głowie. Powiedziały mi to, kiedy spałam. Słowa z waszych głów. Część mnie pochodzi od was wszystkich – ale w większości jestem sobą. To takie dziwne… i minęło tak dużo czasu. A ja tak bardzo się boję…

Arnie widział to teraz wyraźnie. Cała się trzęsła. To było zupełnie naturalne.

Zdawało się, że Rudolph kompletnie oszalał w uchwycie trzymających go wypustek. Zaczął się wyrywać i szarpać. Tym razem więzy łatwo puściły i uwolnił się. Pośpieszył do Cyu…

W chwilę później Arnie i Laura również byli wolni i rzucili się sobie w ramiona.

— Arnie, ale nadal przecież nie wiemy, co te wszystkie cudowne zmiany mają znaczyć! — zawołała Laura.

Jakby w odpowiedzi na jej okrzyk, zabrzmiało przeciągłe brzęczenie kaktusów. Potem rozległ się głos emitowany przez bębenek głosowy, suchym, niemal besztającym tonem. Mówił znacznie płynniej niż przedtem. Niektóre z kaktusów, ewidentnie zadały sobie trud lepszego opanowania języka, korzystając z wiedzy z ludzkich umysłów.

— Wy, ludzie, dyskutowaliście z nami przy pomocy waszych fal mózgowych, które wskazywały, że jesteście szczerzy. Dobrze! Czy wy myślicie, że my także nie marzyliśmy o odwiecznym ideale różnych ludów, żyjących razem w harmonii, wzajemnej pomocy i szczodrobliwości? Wiecie jednak, że jesteśmy świadomi niebezpieczeństw towarzyszących takiemu marzeniu. Łatwo można się oszukać. Czy taka wiedza nie zniszczy w konsekwencji zaufania? Aby tak się nie stało, potrzebna jest odpowiedzialność – po stronie obu ludów. Na Ziemi jest wystarczająco dużo miejsca dla wielu ludzi i dla nas. Ponownie was przebadaliśmy. My również często popełnialiśmy błędy. Ale wierzymy w nas – i w was oraz wasze dzieci. Postanowiliśmy wykorzystać tę szansę. Naprawimy mózgi tych pozostałych kobiet i mężczyzn z przeszłości, tak jak naprawiliśmy mózg kobiety Cyu. Wszyscy musimy podjąć to ryzyko. Dlatego, idźcie! Zbudujcie swoje domy! Inni wkrótce podążą za wami.

Czy w tym kiepskim głosie niesamowitego roślinnego mówcy słychać było pokorę? Czy mówił on z lekką goryczą? Ale czy nie powiedział tego wszystkiego z nadzieją?

Gardło Arniego ścisnęło się. On także czuł pokorę. Jego świadomość odpowiedzialności, zabarwiona była lekko nieokreślonym poczuciem winy. Na tej dziwnej Ziemi bardzo dojrzał. Stał się także bardzo szczery. Podobnie jak Laura, Rudolph i Cyu. Popatrzyli na soczewki oczne kaktusów.

— Dziękujemy — odetchnęli niemal jednogłośnie. Ten świat ciągle daleki był od doskonałości. Ale otrzymali szansę, aby powalczyć o przyszłość, oraz świat idealny dla siebie samych i swych potomków.

Poszli razem do obecnie mocno zakurzonego statku, który tak długo stał pod otwartym niebem. Ale mały Dymek, przywódca piesków preriowych, ruszył pędem, świergocząc, i wpadł do kabiny przed wszystkimi innymi. Wcześniej obawiał się latać. Teraz jednak nawet on musiał wyczuć, potrzebę poznania nowego.

W pobliżu stał potwór – groteskowe, nieludzkie stworzenie. Trzymając dłoń Arniego w swojej, Laura machnęła w jego stronę:

— Weźmy ze sobą też Ślicznego Chłopca – przyda się do noszenia kłód — roześmiała się.

Kiedy Rudy pomógł Cyu wejść do kabiny statku, powiedział:

— Arnie, chyba obaj będziemy musieli wziąć na siebie funkcje sędziów pokoju. Jak człowiek mógłby prowadzić swój własny ślub?

Kiedy unieśli się w górę i lecieli do podziemnego miasta po narzędzia, Cyu zaśpiewała piosenkę z ery porcelanowych wież.

Arnie poczuł się naprawdę cudownie. Teraz, ta dziwna Ziemia zaczęła w jego oczach wyglądać bardzo pięknie. Gwałtowność niepokornego człowieka całkiem go opuściła; cele jakie sobie stawiał były jasne, i w tym niesamowitym kraju odnalazł siebie. Zawsze kochał pustkowia oraz żyjące na nich zwierzęta. Miał w sobie pewne pierwotne instynkty, potrzebne ludziom wytyczającym nowe szlaki.

Miał ochotę kopnąć swego starego wroga, Boba Corsona, w tyłek, żeby wyrazić swą czystą radość. Potem zrobiło mu się głupio. Kto by się przejmował tym od tak dawna martwym głupcem?

Miliard lat. Corson wyczyniał swoje głupstwa już tak dawno temu, że obecnie wszystko, poza absolutnie najważniejszymi wydarzeniami tego okresu, musiało się już dosłownie zatrzeć w czasie…

KONIEC